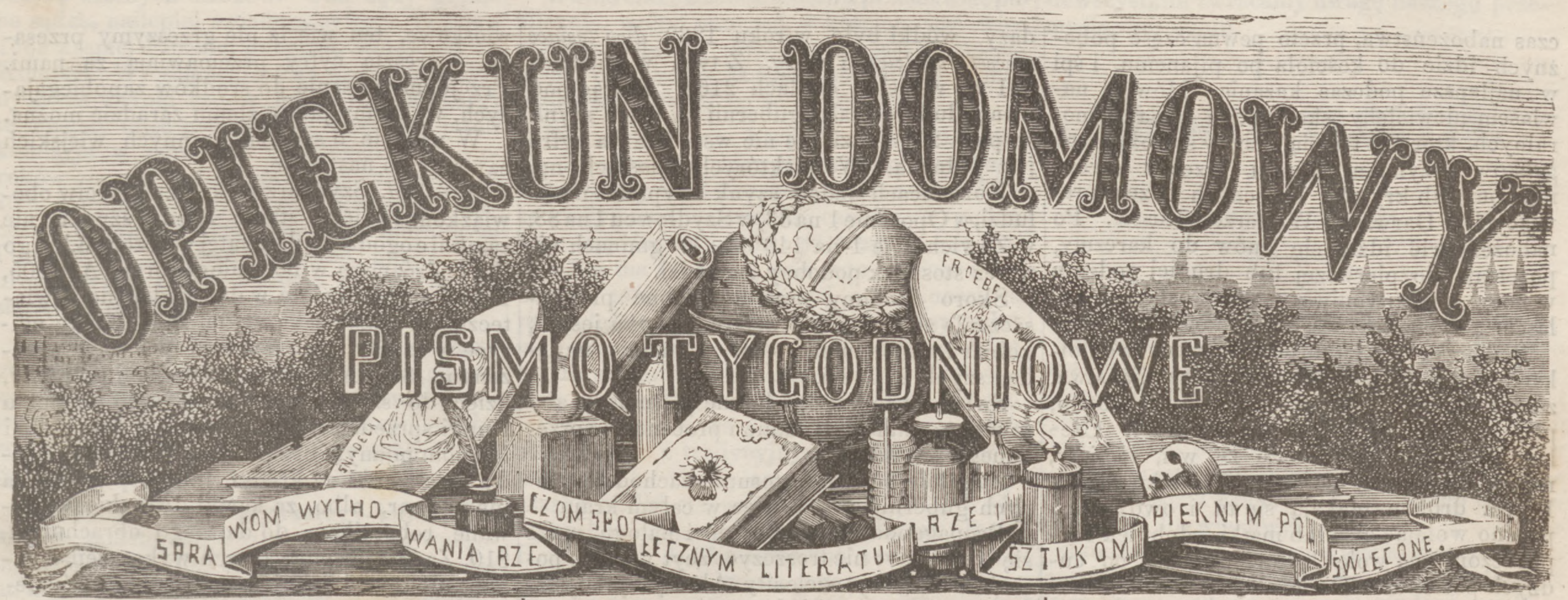
Nr. 27. Warszawa, dnia 20 Lipca (2 Czerwca) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie ...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	w Austryi rocznie 9 guldenów
miesięcznie..... „ 30	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi az na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

W SPRAWIE LUDU.

—

Nr. I.

KARCZMA.

Kogóż nie obchodzi lud wiejski—któż patrząc na tę liczną klasę pracującą w czoła pocie — na te milijony odziane w szarą siermięgę nie boleje nad ich ciemnotą nie życzy im innej—świetlejszej przyszłości? W tym organizmie potężnym spoczywa masa napiętej siły, która długie lata drzemała i drzemie w bierności. Ponad tą masą przewiały burze dziejowe, obok niej rozegrały się nieraz krwawe dramaty;—ona pozostała zimną, głuchą, ona patrzyła osłupiałym wzrokiem, a przez oczy te martwe nie dojrzałeś wyrazu duszy, człowiek nie przemówił przez te usta, bo na nich zasiadła skarga cicha... umysł skowały pęta trwogi, źrenice przyćmiły łzy... Co przeszło, nie wróci—pomówmy o tym co jest dzisiaj.. Tysiączne słyszymy wyrzekania na niemoralność ludu, tysiączne skargi na niesumienność, lenistwo, wstrętne nałogi. Powiadają że to czerń bezwiedna, którą toczy wrzód zepsucia, a wrzodem tym pijaństwo... Karczma to miejsce gdzie sprzedają wódkę, karczma to źródło nieszczęść ludu, to przyczyna najbliższa wszelkiego złegu... zobaczmy czy te słowa są prawdziwe.

Wiemy zbyt dobrze, iż w owej karczmie koncentruje się towarzyskie życie wioski. — Tam odbywają się wesela, chrzciny, stypy pogrzebowe, tam miejsce wszelakiej narady; tam załatwia się kupno, sprzedaż, ugody do służby, słowem wszystko.

Wieśniak bez karczmy, arendarza i kieliszka wódki—to jak ryba bez wody. Nikt nie zaprzeczy, że przy lichej strawie, a ciężkiej pracy, półkwaterek nawet jeden i drugi zdrowiu nie zaszkodzi, ale użycie w miarę—a ciągłe przebieranie tej miarki to znów inna kwestyja. Dawniej, kiedy wyszynk wódki należał do dworu, kiedy za szynkwasem zasiadał żyd, było wielu takich co patrzyło obojętnie, a nawet tolerowało pijaństwo, bo zyskiwała na tym kieszeń właściciela gorzelni. Gdybyśmy chcieli kreślić historyją nadużyć szynkarskich, ryzy papieru nie wystarczyłyby na to. Żyd arendarz rozpajał lud, obdzierał go nielitościwie, inteligiencyja wioski spała spokojnie, nie troszcząc się o karczmę: dziedzic i proboszcz nie myśleli o jutrze...

Ale dziś losy ludu złożono w jego własne ręce—do urzędników gminy należy straż moralności, spokoju i dobrobytu wioski. Czy lepiej dzisiaj?.. Nie lepiej. Czy dawne błędy i nadużycia usunięto? odpowiadamy—że nieusunięto.

Jak przedtym, tak i obecnie, pomimo wyraźnego zakazu, że żydom na wsiach szynkować nie wolno — (chyba tylko w osadach gdzieby sama ludność izraelska mieszkała)—żydzi są szynkarzami. Potrafili oni obejść prawo w ten sposób, że dla oka władzy trzymają szynkarzy katolików, a sami trudnią się handlem starzyzny, pachtem, zakupem różnych produktów, rzezią bydła, i wypożyczaniem na lichwę. Mimo to mieszkają zawsze obok karczmarza lub w samej karczmie, w charakterze lokatorów — inaczej mówiąc, poza plecyma szynkarza katolika, prowadzą interes wyszynku wódki—tak samo jak dawniej. Zarobnik, parobek, dworski, nawet niejeden osadnik nie mając w czasie tygodnia gotowego grosza, pije na kredyt. Przychodzi sobota. Jestto dzień wypłaty. Jeżeli szynkarz sam nie przychodzi z tabliczką do oficyalisty dworskiego, aby dług odebrać, to z pewnością ściąga należytość w karczmie, do której wszyscy robotnicy po ukończonej wypłacie dążą.

Icek—Szmul—lub Herszek, przychodzi do izby karczemnej w *niewinnej roli gościa*, mimo to: jako *przyjaciel* szynkarza, zachęca do wypicia jednego i drugiego kieliszka, wypytuje się czy kto nie ma co na sprzedaż, słowem—używa wrodzonego mu sprytu przewybornie. Pijatyka przeciąga się długo w noc, muzyka grzmi, młodzież tańczy, starsi gospodarze gęsto wychylają półkwaterki. Przez całą niedzielę karczma stoi otworem nawet pod-

ŚLADY ŻYCIA.

XXVI.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Kąpiele rzeczne rokrocznie wybierają swoję daninę... Ofiarami są ma się rozumieć przedewszystkim ludzie młodzi, a głównie młodzież szkolna. Niedawno Kuryjer Codzienny donosił o wypadku, jaki się wydarzył w Sandomierzu. Utonęło tam w Wisle 4-ch naraz uczniów miejscowego progimnazyjum, a piąty zdołał się ledwie wyratować.

Obecnie znowu Kuryjer Lubelski podaje, że jeden z uczniów kl. VI tamecznego gimnazyjum o mało nieuległ temu samemu losowi; prawie już bowiem nieprzytomny wydobytym został z Bystrzycy, przez urzędnika Rządu Gubernijalnego pana Tomczyńskiego.

Notując te smutne fakty, zwracamy się przedewszystkim do młodzieży nieliczącej się zwykle z niebezpieczeństwy. Zakazy władzy szkolnej, rodziców i opiekunów jak nie wystarczały dotąd, tak nie wystarczą nigdy. Kto chce znajdzie zawsze sposobność wymknięcia się z domu na chwilę i zrobienia z sobą po za domem co mu się podoba. Czy jednak po za obrębem tych *zakazów* niema już nic, coby was młodzi panowie od lekkomyślnego narażania się chroniło, czy pamięć na straszną boleść jaką możecie wyrządzić rodzicom, nie powinnaby być najlepszą dla was do ostrożności pobudką?.. Pamiętajcie tylko o tym, a z pewnością i siebie i najbliższych swoich nie od jednego uchronicie nieszczęścia.

* * *

Prowincyja skarży się zwykle na *piekielne nudy*. Żeby się rozerwać, boć rozrywka konieczna rzecz człowiekowi, płeć brzydka dnie całe przepędza w knajpach lub przy zielonym stoliku, płeć piękna zbiera plotecki i obgaduje się nawzajem. Czy zatym na owe nudy niema już innego przyzwoitszego i pożyteczniejszego lekarstwa?.. Jest i bardzo proste. Potrzeba tylko ażeby w każdym miasteczku znalazł się choćby jeden człowiek dobrej woli i poszedł w ślad p. Wiśniewskiego emeryta, b. nauczyciela b. gimnazyjum w Pińczowie.... Pan Wiśniewski oto—urządził tam czytelnię w sposób bardzo praktyczny i prosty. Ze swego mieszkania ustąpił na ten cel jeden obszerny pokój zaopatrzył go w odpowiednie sprzęty i zaprenumerował kilkanaście pism warszawskich. Czytelnia od 8 rano do 10 wieczorem jest dla każdego otwartą za opłatą rs. 1, a od mniej zamożnych kop. 50 miesięcznie—i posiada oprócz pism codziennych i humorystycznych Biblijotekę Warszawską, Kłosy, Tygodnik Ilustrowany, Przegląd Tygodniowy, Opiekun Domowy i Gazetę Sądową. W miarę rozwoju i powodzenia p. W. ma zamiar urządzić i biblijotekę. W końcu 1-o miesiąca istnienia czytelnia liczyła już 31 uczestników,

czas nabożeństwa, przeto pewna część pobożnych idzie do kościoła po pijanemu, i śpi w najlepsze podczas kazania. Mówiąc nawiasem niewieleby skorzystała z nauk moralnych, których treścią... cnoty starożytnych greków i rzymian, filipiki przeciw karbonjarzom lub krytyka bezecnych gazet, prawiących o Darwinie, Wolterze i Russie. Po nabożeństwie idzie się znów do karczmy, pozostaje do pierwszej lub drugiej godziny w nocy, a roztrwoniwszy grosz ostatni z hałasem i wyciem wraca do domów.

Pod przyzbą szynku, na gościńcach w opłotkach wioski leżą nieszczęsne ofiary pijaństwa, zakrwawione, pokryte kurzem i błotem, podobniejsze do bydląt niż do ludzi. Czeladź dworska, gospodarze ze wsi, kobiety, nawet organista, karbowy, wszystko pijane. Dzieci drobne błąkają się tu i owdzie, napróżno wołając ojca lub matki—dobytek rozpuszczony na wolę losów, bobruje po cudzych posiewach. Dnie robocze marnieją bezowocnie, w domu niedostatek, gospodarstwo opuszczone, długów po uszy, zbydlęcenie dochodzące do ostatecznych krańców, upadek dobrobytu, niemoralność straszna.

Nie wierzysz szanowny czytelniku — powiadasz że to przesada, przejdźmy do cyfr, one sprawdzą cośmy powiedzieli.

Z ogólnej wartości wyrobów przemysłu w naszym kraju, (a wartość ta wynosi 75 milijonów rubli) przypada 19 milijonów na gorzelnie, browary i dystylarnie. Jesto więc $^1/_4$ ogólnej cyfry.

Miasto Warszawa, liczące 289,241 ludności; posiada składów wódki 28, z tych w posiadaniu chrześcijan 19, a 9 żydowskich.

Szynków jest 395—z tych 91 w ręku chrześcijan, 304 w ręku żydów.—Piwiarni 84 — z tych chrześcijańskich 36 —żydowskich 48. Przeważna przeto ilość szynków jest w żydowskich rękach, a zwracaliśmy uwagę czem są ci szynkarze. Biorąc stosunek do ludności, na jeden zakład sprzedaży wódek wypada 351 ludzi, biorąc znów co do liczby domów, co 7-my dom szynk znajdować się musi. Policzywszy cukiernie, handle win, restauracyje itd., pewnie co drugi dom, to szynk wódki. Ułatwienie więc w konsumpcyi jest niezaprzeczone, Warszawa daje dobry przykład.

Weźmy pod uwagę gubernją Radomską, bo cyfry statystyczne z tej gubernii mamy pod ręką. Tam zakładów cząstkowej sprzedaży wódki było w roku 1869 *dwa tysiące pięćset dwadzieścia cztery*. Z tych w miastach 351 we wsiach i osadach 2163. Biorąc pod uwagę ludność całej gubernii na jeden szynk wypada 207 ludzi, ale nie wszędzie ta cyfra jest jednaką. W niektórych miastach np. w Kozienicach jeden szynk wypada na 80 ludzi, w Opocznie 1 na 83, w Szydłowcu 1 na 88, w Zawichoście 1 na 140 itd. W gminach również stosunek podobny zachodzi.

Skoro zrobimy prawdopodobne przypuszczenie że w ogólnej cyfrze ludności jest $^3/_4$ kobiet i małoletnich — toć wypadnie na jeden szynk 27 ludzi.

Świadczy to jak owi ludzie pić muszą, aby szynkarz miał utrzymanie i procent od sprzedanego produktu.

Zupełnie podobne stosunki zachodzą w innych gubernijach— a więc w całym kraju.

Propaganda niemoralności i nałogu, może się o swój byt nie troszczyć, zbyt potężne posiada środki, zbyt wiele siły. Ale czyż tylko liczba karczem stanowi jedyną przyczynę złego?.. Zwróćmy uwagę na inną okoliczność.

Jarmarki i dnie targowe są zarazem dniami pijatyki i próżniactwa. Wieśniak żadnego jarmarku nie opuści. Choćby miał do sprzedania kwartę masła, parę serów, kokoszę, mendel jaj lub parę garncy zboża, jedzie na kiermasz do miasteczka.

W gubernii Radomskiej w miastach i osadach jest rocznie 328 jarmarków, oprócz tego ustanowiono 2496 dni targowych. Z liczby tej w dnie powszednie wypada 1664 w święto 832.

Gdyby setna część ludności, brała udział w dziesiątej części jarmarków, według obliczeń byłoby 15,180 dni rocznie zmarnowanych bez pożytku. Gdyby każden jadący na jarmark wypił tylko parę kieliszków byłoby 3795 kwart wypitej wódki!

W miastach jak wiadomo, żydzi szynkować mogą. Korzystają też z tego przywileju, i podpoiwszy chłopa, zabierają od niego produkt przywieziony na sprzedaż, a płacą nie pieniędzmi lecz baryłką lub flaszką wódki.—Tym sposobem ciemny lud, jest na każdym kroku wyzyskiwany przez sprytniejszych od niego przekupniów, tym sposobem szerzy się coraz więcej nałóg pijaństwa, olbrzymie a wrogie przybierając rozmiary.

Przedstawiliśmy ujemną stronę w całej nagości i prawdzie. Komu znane stosunki wioskowe, ten wie iż nie grzeszymy przesadą — zresztą cyfry przemawiają za nami. Przejdźmy obecnie do środków zapobiegających, wykażmy jakby złemu zaradzić można.

W ustawie o sądach gminnych wiejskich czytamy co następuje.

Art. *804*. Szynkarz wykracza przeciw obowiązkom swojego stanu: Kiedy szynku nie zamknie o godzinie dziesiątej wieczorem, lub go dla podróżnego w nocy nie otworzy. Art. 805, Kiedy szynk otwiera w dni niedzielne i świąteczne w czasie zakazanym. 806. Kiedy muzyce w szynku grać pozwala w czasie zakazanym. 807, Kiedy bez koniecznej potrzeby, dzieci do szynku przyjmuje, albo pijanemu trunki sprzedaje. 808. Kiedy nie daje opieki ludziom pijanym bez przytomności. 809. Kiedy daje trunki na kredyt, lub je sprzedaje za inny towar, albo za kartki dworskie wydawane robotnikom do dalszego obrachunku. 810. Za każde z powyższych wykroczeń, szynkarz ulegnie karze jednego rubla pięćdziesięciu kopiejek.

Wykonanie przeto ścisłe przepisów ustawy jużby zapobiegło złemu znakomicie. Jednak ani jeden z powyższych artykułów nie jest wprowadzonym w życie. Wina spada na Urząd gminny. Dla czegóż wójt, pisarz, ławnik i t. d. nie pilnują tego co do nich należy?.. Przyczyną może być albo nieznajomość praw, albo opieszałość, albo zła wola.

Gdybyśmy powiedzieli że tutaj gra rolę przekupstwo, że szynkarz potrafi ująć datkiem wójta, pisarza gminnego, sołtysa lub strażnika ziemskiego, że urzędnicy gminni, nie mają żadnego, albo słabe pojęcie o obowiązkach na nich ciążących, nie podając faktów posądzono by nas o złą wolę.

Są jednak fakty.

W gubernii Płockiej np. jest 114 wójtów gminy, z tych znających prawo i obznajmionych z obowiazkami jest 32-u średnio obznajmionych 59, a mało lub zupełnie 25.

W tejże gubernii w 1867 jak świadczą sprawozdania, udzielono napomnienia uwagi lub kary administracyjne 10-ciu urzędnikom gminnym, wydalono ze służby 7-miu a sześciu oddano pod sąd. Przeto 95 było karanych a 19 zostało bez zarzutu.

Skoro dodamy, że z liczby oskarżonych *dwu* oddano do domu roboczego z nadzorem policyjnym a *pięciu* do rot aresztanckich to jakaż pewność, że prawa tyczące się szynków jest więc nadzieja, że się i nadal ciągle rozwijać będzie pomyślnie—dostarczając za tanią stosunkowo opłatą sposobności do przyjemnego i pożytecznego przepędzenia czasu.

* * *

Publiczność nasza zaczyna bawić się kwiatami szekspirowskiego dowcipu. Duch nieśmiertelnego Wilijama, w przedstawionej po raz pierwszy w dniu 26 czerwca komedyi p. t. „Poskromienie złośnicy”, zrozumiałym dla wszystkich przemówił językiem: iskrami „wesołej nauki” ożywił scenę i zdrowym śmiechem czoła zebranych widzów rozchmurzył.

Komedyje starych mistrzów, jak Szekspira i Molijera, tym się najwięcej podobno różnią od nowoczesnych, że przy zupełnym braku deklamatorskiego pierwiastku, są daleko *szczerszej komicznemi*, i mimo licznych epizodów i drugorzędnych sytuacyjnych powikłań, o wiele prostszemi pod względem swej treści. Świeżo przedstawiona sztuka nie stanowi bynajmniej wyjątku—jej piętno czasowe leży w różnoramiennym, niemal drobnostkowym rozwoju dramatycznej akcyi, a niestarzejąca się wartość—w rozsypanych suto, całemi dyjalogami, perłach żywego dowcipu. Pomijając szczegółowe odtwarzanie wyjaśniającej się już w nagłówku treści powiemy tylko, że Szekspir w głównej kobiecej postaci uplastycznił tu jaskrawo: upór, jadowity dowcip i bezsilną złośliwość; w naczelnym zaś charakterze męskim, doprowadzoną do komicznej apoteozy fizyczną energiją. Rzecz naturalnie kończy się „poskromieniem złośnicy“, która zostawszy, mimo swej woli żoną korpulentnego amanta, przedstawia w ostatniej scenie, ku wielkiemu zgorszeniu zwolenników niewieściej emancypacyi, wykończony typ *utresowanej szekspirowskiej kobiety*.

Główną rolę żeńską (Katarzyna) odegrała panna Popiel, męską (Petruchio) p. Leszczyński—oboje z wielkim powodzeniem. Najwięcej jednak podobno chwil szczerego śmiechu zawdzięczali zebrani widzowie panu Ostrowskiemu, który z pocieszne postaci Grumija wytworzył prawdziwy ideał komizmu. Inni artyści, zacząwszy od p. Stolpego a skończywszy na p. Łukowiczu, nieźle wywiązywali się ze swych zadań; i jedynie pan Chomiński, rolę Gremija, niewłaściwą, bo zbyt arlekińską dykcyją oszpecił. Do utrwalenia tej komedyi na naszej scenie przyłoży się jednak najwięcej pracowity i pod względem estetycznym szczęśliwie dokonany jej przekład.

* * *

W 137 numerze Kuryjera Codziennego, czytamy projekt zasługujący ze wszech miar na poparcie i uznanie ogółu.

Oświata naszych rzemieślników, toć najsilniejsza dźwignia krajowego postępu, to jedyna droga, po której dążąc rozumnie a wytrwale zdobylibyśmy dobrobyt. W imieniu tej oświaty przemawia autor artykułu, wykazując fatalny brak idei samopomocy, niechęć do stowarzyszeń, nieznajomość stosunków handlowych, a jako środek zaradczy wskazuje, oświecanie starszych rzemieślników, kształcenie młodszej ich generacyi. Zgadzamy się najzupełniej z autorem, że rzemieślnicy nasi pragną światła, chcą się uczyć, że tylko lenistwo i ospałość klasy inteligentnej wmawia w nich wstręt do wiedzy. Prelekcyi dwanaście to za mało, to dopiero pierwsza próbka popularyzacyi nauki, a jakże się ona doskonale udała! To powinno nas zachęcić, dodać energii. Kto się tylko czuje na siłach, kto uczyć może, niechaj uczy. Gdyby projekt odczytów w każdym większym zakładzie w każdej fabryce, jak to proponuje Kuryjer Codzienny przyszedł do skutku, byłoby to rzeczą nieobliczonej doniosłości, pełną najlepszych rezultatów na przyszłość. Do rzemieślnika należy przemawiać jego języ-

znajdą wiernych stróżów. Jak sądy gminne sądzą, najlepiej świadczą cyfry. W roku 1869 z samej Płockiej gubernii, wniesiono do Komisyi Włościańskiej 784 skarg kasacyjnych na wyroki sądów gminnych, a skargi te musiały mieć podstawę i słuszność jeżeli komisyja w sprawach cywilnych 27% wyroków zniosła, zaś w sprawach policyjnych 10% procent. Aby przeto kwestyja karczem, a tym samym kwestyja moralności i dobrobytu ludności wiejskiej mogła być uregulowaną, należy zwrócić uwagę na następujące punkty.

1. Wybierać na wójtów gminy i pisarzy gminnych ludzi, coby godnie odpowiedzieli swemu powołaniu, coby mieli szacunek, powagę u ludu i należy te wykształcenie—coby rozumieli potrzeby wioski—i potrafili im zaradzać.

2. Usunąć z grona szynkarzy—izraelitów, którzy podstępnie wdzierają się do wzbronionego im handlu, szkodliwie oddziaływają na moralność ludu, i tysiącznych dopuszczają się nadużyć.

3. Policyi polecić ścisłą straż nad szynkami w miasteczkach aby tam nie oszukiwano pijanych włościan, i podstępnie pieniędzy od nich nie wyłudzano.

4. Kontrolować wiejskich szynkarzy aby przepisów ustawą gminną objętych nie przekraczali, i surowo karać wykroczenia.

Przytoczywszy wyżej wymienione punkty, nie możemy pominąć jeszcze jednego ważnego wpływu, który oddziałać może skutecznie. Nie leży on w zakresie przepisów prawnych, ale spoczywa na dnie sumienia, wchodzi w poczet obywatelskich obowiązków. Zwracamy się do inteligencyi wioskowej, do dziedziców i dzierżawców, do oficyjalistów większych dóbr, a przedewszystkim do stróżów moralności, do proboszczów i wikaryjuszów. Wy stojący na wyniesieniu, spojrzyjcie z okien pałacu i dworku, spojrzyjcie z kazalnicy na ciemne masy, zejdźcie do nich i wesprzyjcie radą waszą. Wszak możecie od działywać, wszak możecie wchodzić nawet do izby obrad gminnych, podawać projekty, popierać je.... Najwyższy Ukaz z 19 Lutego (2 Marca) 1864 roku, na to wam pozwala. Przy wytrwałości i dobrej woli głos wasz nie byłby bezpożytecznym.

Wolno także duchowieństwu przemawiać publicznie, wolno nauczać w kościele jest więc otwarte pole do krzewienia zasad moralnych, do oświecania ludu, utrwalania w nim tego wszystkiego, co zacne a święte.

Dla czegóż nie korzystacie z praw waszych? Dziwna niewytłumaczona opieszałość, rażący brak poczucia powinności. Może kiedyś osobiste widoki, czyniły wygodną ciemnotę ludu, dzisiaj pańszczyzny nie ma, dziś lud ma swobody, dziś jego oświata i dobrobyt, to wróżba krajowej pomyślności, to przyszłość społeczeństwa, to siła. Zapytujemy, czy czasem my sami nie przyczyniamy się do niemoralności ludu, czy nie protegujemy jego nałogów. Nagrodą jaką udzielamy wieśniakowi za jego zasługi, toć datek pieniężny...: z tradycyjnym frazesem „masz na wódkę". Zachęcamy robotnika do pracy czarką wódki, na święta służbie dajemy wódkę, zyskujemy przychylność wódką, czyż Icek, Herszek lub Judka postępują inaczej? Czy tylko kieliszkiem można przemawiać do ludu czy nie masz innego sposobu? Ale inteligencyja wioski nie uznaje człowieka w chłopie, uważa go za bydlę, i traktuje po bydlęcemu. Gdyby ta inteligencyja zwróciła uwagę Władzy na reformę karczem, gdyby w tych zaiste jaskiniach zepsucia, sprzedawano posilną strawę, lepszy napitek, gdyby one były miejscem wypoczynku i zabawy, o ileż lud byłby zamożniejszym, moralniejszym i zdrowszym.

Pogrążony w kałuży nałogu, ciemny—niewolnik złych popędów choć usamowolniony nie może podźwignąć się, marnuje mienie jakie posiada, nie umie korzystać z przywilejów, nie rozumie, że mógłby żyć wygodnie i używać cennych darów cywilizacyi i przemysłu.

Któż na tym traci, czy lud tylko? Ejże.... na tym kraj cały tysiączne ponosi szkody—cierpi ogólna produkcyja, ogólny dobrobyt, i tak że moralność ogółu. Inteligencyja narodu winna zrozumieć o tę prawdę, że trzeba i masach myśleć. Intelligencyi zadaniem wykorzeniać złe społeczne, zmuszać niejako bierne bezwiedne jednostki do pozbycia się wad fatalnych, kierować niemi, bo one same pójść drogą jaką iść trzeba nie potrafią. Pośród wielu przyczyn tamujących postęp ludu karczma stoi na pierwszym planie—i dla tego na nią dewszystkim zwracamy uwagę naszego przemyślącego ogółu.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Beata uścisnęła rękę zacnemu człowiekowi, i powróciła z lepszą otuchą do domu. Ponieważ lekcyje miały się zacząć dopiero za dni kilka—od 1-go grudnia—postanowiła sobie zrobić wycieczkę do Zalesia, do rodziców swej matki. Janowa przyjęła ten projekt z zapałem—uwiadomiwszy więc Felicyjana, najęły powozik i pojechały do białego dworku pośród lip wiekowych.

Janowa robiąc różne wspomnienia, płakała.—Beata bardzo wzruszona, rozglądała się po miejscu rodzinnym swej biednej matki. Widząc gości, cała rodzina wyszła na ganek, —ale były to tylko wnuki i wnuczki, bracia i siostry Beaty, którzy nie poznali ich wcale.

— Gdzie moi państwo? Gdzie wasz dziadzio i babcia?... zawołała Janowa.

— Dziadzio od roku nie żyje—babcia jest w pokoju,—odpowiedzieli zdziwieni.

Weszły więc, poprzedzone jedną z panienek, która poszła oznajmić babci niespodziewanych i nieznanych gości. — Beata ujrzała miłą i czerstwą staruszkę siedzącą na krześle, Janowa rzuciła się jej do nóg — Beata uklękła także całując jej rękę.

— To wnuczka pani, córka panny Anny! zawołała do zdziwionej staruszki Janowa.

Nastąpiło tkliwe i rzewne powitanie. Staruszka płakała, wspominając córkę i męża—żałując, że nie doczekał tej pociechy—błogosławiła drżącą ręką Beatę—i nakoniec chciała zapoznać ją z całą rodziną, ale ta gdzieś się nagle rozpierzchła. — Poczciwi ludzie, chcieli wystąpić przed kuzynką Warszawianką—i w tym celu, każde kładło na siebie co miało najpiękniejszego. Na gwałt otwierały się szuflady i szafy—i dopiero na usilne wołania babki, nadciągali pojedyńczo, a w pośpiesznie robionej tualecie, zakradły się rozmaite zboczenia i śmieszne dodatki.—Beatę przykro to dotknęło, lecz pokryła to milcze-

---

kiem, kto wie czy nie najlepiej w warsztacie lub gospodzie, gdzieby ten rzemieślnik czuł się u siebie, gdzieby nie był krępowanym. Dalszy ciąg odczytów 5-cio-kopiejkowych w resursie obywatelskiej, może się odbywać swoją drogą, to nic jedno drugiemu nie przeszkadza.

Niech będzie na każdym odczycie kilkudziesięciu, nawet kilkunastu lub kilku takich co słuchać zechcą i uczyć się zechcą, już cel osiągnięty. Rzucajmy ziarno nauki pełną dłonią, rzucajmy wszędzie, zaszczepiajmy wszędzie myśl trzeźwą, zacne dążenia, uczmy patrzeć w przyszłość, uczmy pożytecznie pracować dla kraju i siebie, a wcześniej czy później trudy się stokrotnie powrócą. Jeżeli wyżsi urzędnicy w zakładach przemysłowych, jeżeli specyjaliści tam pracujący zechcą przyłożyć rękę do tak zacnej sprawy. „Szczęść im Boże", oddadzą oni społeczeństwu obywatelską posługę.

* *

Słyszymy też i o drugim projekcie, mającym na celu kształcenie młodego pokolenia klas pracujących. Pan Makowiecki stara się o założenie „Muzeum przemysłowego" przy którym odbywałyby się odpowiednie wykłady naukowe, a zarząd drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej podniósł myśl urządzenia specyjalnej szkoły mechanicznej przy tychże drogach. W kraju naszym gdzie szkół tego rodzaju niema, a są nieodbicie potrzebne, jakież by to były cenne nabytki. Jeżeli myśl ta, o czym nie wątpim, wejdzie w wykonanie, ileż to młodzieży ujmie chętnie młot w rękę i wyrobi się na zdolnych pracowników na niwie przemysłu. Dziś nie jeden chciałby się uczyć, ale gdzież pójdzie któż mu za przewodnika posłuży?

Skoro szkoła i nauczyciele będę, uczniów bezwątpienia nie zabraknie.

*
* *

Szanowny Redaktorze!

Zamieściwszy w korespondencyi z Krakowa (Nr. 21) wycieczkę przeciw mej osobie i recenzyi historyi literatury D-ra Mecherzyńskiego, racz pozwolić na kilka słów odpowiedzi. Odprawa będzie krótka, bo jak wszyscy przyjaciele pana M., tak i p. *U. G.*, bije głównie na wysokie stanowisko naukowe i powagę swego klijenta, na przeszłość jego czystą jak łza" (nie znam osobiście D-ra M., ale prawości jego charakteru nigdziem nie zaczepiał) i konkluduje, „że nie potrzebuje zbijać zarzutów recenzenta, bo już po rozmaitych pismach inni nas uprzedzili." W rzeczy samej starał się zbić moje zarzuty p. *W. G.* w połowie jednego feljetonu *Czasu*, którą to odpowiedź wydał nakładca potępionego dzieła, p. Himmelblau, w osobnej odbitce..., ja zaś umieściłem replikę na tę apologiję w Kwietniu w *Gazecie Narodowej*....

Pozostaje mi więc tylko odpowiedzieć jeszcze na ustęp korespondencyi z Krakowa, zaczynającej się od słów: „Dodamy tylko *od siebie* jeszcze jeden dowód *nieuctwa* recenzenta. Zarzuca on D-rowi M., że *glagolicę przypisuje ś. Hieronimowi.* Przeciwnie, autor bardzo oględnie wyraził się, że *glagolicę przypisują niektórzy ś. Hieronimowi.* Nie mówił więc twierdząco. A czy wie recenzent, że Dalmatczycy *jeszcze* w XIII wieku stanowczo tak utrzymywali? Mamy na to oczywisty dowód w bulli papieża Inocentego IV... i t. d."

Musiałem przytoczyć słowa korespondenta, aby wykazać dobitnie, po której stronie *nieuctwo.* Nasamprzód jednak trzeba mi oświadczyć, że owego *„dowodu"* nie podaje p. *U. G.* bynajmniej *„od siebie"*, tylko go sobie przywłaszczył od p. W. G. *z Czasu*, który mi na jego podstawie zarzucał *fałszerstwo.* Wykazałem jednak w *Gazecie Nar.*, że zarzut ten nietylko był mylny, lecz nawet podstępny, boć skoro p. Mech. powiada o gła-

niem.—Lecz babka także z tego niezadowolniona, zawołała na synową:

— Moja Róziu! czepek ci się przekrzywił, kolczyk odpiął! — Na co też to wszystko? — Przecież to wasza kuzynka.

— Ale moja mamo! kuzynka z Warszawy, napatrzyła się Bóg wie jakich strojów— a przecie i my mamy *fioki*, tylko, że na wsi, trudno w nich chodzić na codzień.

— Ja na suknię nie uważam — tylko na serce, nie róbcie sobie najmniejszej subjekcyi!—odezwała się zasmucona Beata.

Nic nie pomogło!—Chęć przedstawienia się dobrego malowała się w każdym kroku i słowie.—Wszyscy byli jak *okradzeni.* Z wielkim trudem odbyło się przedstawienie wszystkich członków rodziny, składającej się z brata matki Beaty z żoną, siostry wdowy i trojga dzieci — dwu córek i jednego syna, już dorosłych.—Beata zbliżała się do nich z serdecznym uczuciem—ale niestety! nie mogli zapomnieć że to Warszawianka i hrabianka do tego!—Wujenka i ciotka dygały jak najśmieszniej — wuj nie wiedział co ma robić z tym fantem, i raz poraz kraciastą chustką nos wycierał z hałasem — siostry chciały ją w rękę pocałować—a brat zaczerwienił się jak piwonija, poprawiając wciąż upartą kokardę szafirowego krawata—i wreszcie wymknął się cichaczem.—Beata ze ściśniętym sercem usiadła obok Babki, zachowującej się z całą godnością — miłej, poczciwej staruszki, która zrozumiała jej uczucie, i rzekła całując jej czoło:

— Ot! wybacz im moja duszko — dobrzy ludziska, ale ty dla nich jesteś jak łabędź, co się zjawił między gołębiami!

Przy obiedzie był lament gospodyni z powodu leguminy parzonej, która najfatalniej opadła, i wywołała sprzeczkę między bratowemi.

— Widzisz Róziu, ja zaraz mówiłam, że trzeba więcej mąki!—dowodziła wdowa.

— A ja ci powiadam, że gdyby nie tyle jaj coś wbiła, byłaby się udała! — odpowiadała zaperzona Rózia.

Jednak po obiedzie, gdy Beata siedząc u kolan babki, i pomagając jej zwijać bawełnę, opowiadała swoje zajęcia, kreśliła żywo życie nędzy Warszawskiej—rozwijała swoje przekonania, zwolna zapominali swoich względów, i otoczyli ją ciasnym kółkiem słuchając pilnie.

— Dzielna dziewczyna! — przepraszam — chciałem powiedzieć.... tłumaczył się pan Marcin z mimowolnego wykrzykniku.

— Nie tłumacz się mój wuju! — Owszem, nie uważajcie mię za obcą, bo mię to boli— użyczcie mi rodzinnego ciepła — którego jestem spragnioną! — odparła z uśmiechem Beata.

Zatrzymali ją dni parę — oswoili się nieco z jej pięknością i pańskim ułożeniem—a przy wyjeździe pożegnali ze łzami w oczach.

— Moja duszko! nie zapominaj o starej babce, przyjedź do nas!—mówiła staruszka.

— Przyjedźcie i wy do mnie! — odparła dając im adres.

Owinięto go w biały papier—ale nie myślano zeń korzystać.

Babka chciała jej dać jakąś summkę, ale odmówiła przyjęcia stanowczo. — To ją jeszcze bardziej podniosło w oczach wujostwa i babki, chociaż z różnych nieco pobudek.

Beata wracała do siebie smutna—czuła się tam zawsze z innej sfery, obcą. — W właściwym i serdecznym znaczeniu tego wyrazu — ani ojciec, ani familija matki nie stanowili jej *rodziny.* Duchową jej *rodziną* była siostra Dolorosa, Felicyjan i Emanuel.

Stróż domu, poczciwy Mateusz, oddał jej dwa bilety wizytowe od Gucia, a trzeci od księcia Karmelka. — Zdziwiła się i jednym i drugim — i coś jak przeczucie przykre ścisnęło jej serce.

Zima zaczynała się bardzo ostra — Beata odwiedziła małe uliczki i zaułki, i znalazła tyle nędzy, choroby, braku jadła i okrycia— że rozpłakana rozdała szczupły zasób pieniężny, zostawiając sobie tylko na nieodzowne potrzeby. Lekcyje się zaczęły—duże godziny muzyki, więcej męczące niż cały dzień swobodnej pracy.—Dwa złote dziennie były niewystarczające. — Beata ze drżeniem myślała o jutrze—i starała się o zajęcie. — Musiała zaprowadzić jaknajściślejszą oszczędność, ale i tak można było przewidzieć straszny niedostatek. Dawniej szczęśliwa i spokojna, pracowała śpiewając, teraz wszystko zmieniło się jak za dotknięciem czarnoksięskiej różczki, cisza głucha zaległa pokoiki—a ich mieszkanka pobladła troską codzienną.

Janowa twierdziła, że wizyta pani Ruszczyc i hrabiego Władysława, przyniosła jej nieszczęście. Parę tygodni strasznie im przeszło.—Jakby na szyderstwo zjawiał się dosyć często Gucio, wyświeżony, elegancki, przesiąkły zbytkiem — i listy od hrabiego Władysława, z dodatkiem cukierków i kwiatów.

Beata umiała kryć swój niedostatek—nikt-by go nie odgadł ani z jej powierzchowności, ani z otoczenia — jednako zawsze skromnie, ale z pewną wytrwałością urządzonego. Na tydzień przed świętami, Beata siedziała w nieopalonym pokoju, i smutno zamyślona, nie odpowiadała na skargi Janowej wyrzekającej głośno.—Dziś na obiad wydały ostatnią złotówkę — pieniądze zbierane na fortepian roześzły się już na zapomogę biedniejszych jeszcze—nadchodził czas zapłaty za kwartalne gospodarzowi domu — za lekcyje należność miała odebrać dopiero w końcu tego miesiąca—położenie było groźne. — Beata mężnie znosiła wszystko — lecz tym razem czuła się zwątloną na siłach moralnych i fizycznych.— Rozmaite myśli snuły jej się po głowie, przypomniała sobie słowa pani Ruszczyc, i wstrząsnęła się z przerażeniem—obraz tak strasznie przez nią kreślony, miał wiele bardzo prawdy! — A gdyby i Emanuel był zmuszonym znieść nędzę i chłód, i brak wszystkiego — i ona, musiałaby widzieć jego mękę powolną!—Beata zerwała się z miejsca—i otulając się szalem, jeszcze zimniejszym przeniknięta dreszczem—złożyła ręce jak do modlitwy:

— Mój Boże! mój Boże! zmiłuj się nad nami!—Nie! Ty nas nie opuścisz!... — dodała z mocą—Tyś wielki i sprawiedliwy.

(*d. c. n.*)

Dla Matek

Ogólne uwagi o chorobach dziecinnych i o pielęgnowaniu chorych dzieci.

W żadnym peryjodzie życia, człowiek nie ulega tak wielkiej liczbie chorób ciężkich jak w dzieciństwie. Nie dziw przeto iż w tym czasie śmiertelność jest daleko większa, aniżeli w późniejszym wieku; i że co można przyjąć za pewnik, czwarta część nowonarodzonych, wymiera w pierwszym zaraz po przyjściu na świat roku.

Smutny ten fakt dawno już zwrócił na siebie uwagę lekarzy, statystów i tych wszystkich co opiekują się zdrowiem publicznym. Poczęto badać i przekonano się, że oprócz cierpień dziedzicznie z rodziców na dzieci przechodzących, oprócz przyczyn szkodliwie działających na organizm matki podczas jej

---

golicy, *tyle tylko*, że „ją niektórzy przypisują S. Hieronimowi", więc rzecz jasna, że nie ma wyobrażenia o całej sprawie, faktem bowiem jest, że obecnie *nikt* już nie powtarza tej bajki, wedle zdania zaś wszyskich prawdziwych uczonych (trudno do nich liczyć niektóre krakowskie powagi) *ojcem głagolicy jest ś. Cyryl.* Usiłuje mnie korespondent pouczyć, że „*jeszcze* w XIII wieku utrzymywali tak dalmatczycy", alež ja przed miesiącem (w Kwietniu, w *Gazecie Nar.*) z datami i imionami w ręku wykazałem, iż nietylko w XIII, ale jeszcze na początku XVIII wieku tož samo utrzymywano, że przecież przed stu kilkudziesięciu laty baśń tę całkiem obalono.

Tyle w odpowiedzi korespondentowi, którego list od początku do końca nosi znamię przejrzystej tendencyjności.

Przyjm Szanowny Redaktorze wyrazy szacunku i poważania, z jakiemi się piszę.

K. K.

* * *

Przyp. Red. Zamieszczając w „Opiekunie" w imię bezstronności powyższą replikę pana K. K., uważamy za stosowne objaśnić, że o ile w kwestyi rodowodu podwójnego charakteru grafiki słowiańskiej, (głagolicy i kirylicy) bardzo jest ważną i przy sumiennych badaniach nie tak ostatecznie trudną rzeczą wykazać—jużto chronologiczny i miejscowy początek, jużto stopniowe przekształcanie się rzeczonych alfabetów, o tyle uporne poszukiwanie ich *pojedyńczego* twórcy, jest w gruncie pogonią za mało pożytecznym dla nauki celem; *stanowcze* zaś przypisywanie ich wynalazku tej lub owej historycznej jednostce, przy dzisiejszym stanie tej sprawy, zbyt pośpiesznym, a więc i niepozytywnym wyrokiem. Co do *kirylicy*, sprawa, prócz innych względów przynajmniej o tyle jest prostszą, że sama już nazwa, słusznie, czy niesłusznie, odkrywa jej autora w Cyrylu; choć zdaniem niektórych badaczy, ojcem jej był nie Cyryl, lecz uczeń Cyrylowy, Klemens. Trudniej nierównie dowieść, *kto* był ojcem *głagolicy*, i mimo, że pan K. K., opierając się na powadze kilku uczonych, stanowczo Cyrylowi ją przypisuje, dla ogółu jednakże wyrocznią to nie jest. *Powag* niema w literaturze. Słusznie więc encyklopedyje nasze, których zadaniem jest wykreślać *średnią* rezultatów badań historycznych, biorąc pod rozwagę różnorodność zdań wypowiedzianych przez Hilferdinga, Kopitara, Grima, Dobrowskiego, Szafaryka, Papłońskiego i wielu innych, jednogłośnie przypisują kirylicę Cyrylemu, a głagolicę pozostawiają *bez ojca.* Nikt nie popełni błędu, jeśli *hipotetycznie* twórcą głagolicy nazwie Cyryla lub nawet Hieronima, gdy przeciwnie, pretensyjonalna *stanowczość* w tym względzie, przy braku kompetencyi na samodzielnym badaniu opartej, tylko na powszechne nieuznanie zasłużyć może.

* * *

W 22-m N-rze naszego pisma zmuszeni byliśmy podać wiadomość o szczególnym literackim wyrobie p. t. „Poezyje W. Z." Dziś do kroniki jaskrawych na tym polu niepowodzeń zaliczamy książkę p. t. „*We trzech, pisemko wierszem na realno-progresywne momenta poezyi*, przez R. W. S." Płód ten o wiele jeszcze niedołężniejszy od pierwszego, może wraz z nim służyć na dowód, że choroba rymokletwa rzeczywiście zastraszające u nas zaczyna przybierać rozmiary. Nietylko bowiem nieznajdujemy tu szczypty zdrowego sensu, a bardzo mało śladu prozodyi i gramatyki, ale nadto spotykamy się co chwila ze znakami i figurami dziwnej konstrukcyi, z wyrazami, do którychby się pewno żaden język przyznać niemógł. Jest-to zaprawdę najsmutniejszy w swoim rodzaju *drukowany* okaz umysłowej nędzy, i zarazem wymowne objaśnienie kresów,

brzemienności istnieją inne jeszcze przyczyny stokroć doniośléjszego znaczenia. Pełen oto przesądów, pełen wad, nielogiczności i zaniedbania system pielęgnowania dzieci, jest głównym powodem śmiertelności. Złe karmienie, oddychanie zepsutym powietrzem, nieporządek i tysiączne zboczenia od warunków koniecznych dla zdrowia, potęgują wrodzone już usposobienie do chorób, lub też zdrowe z natury dziecię przemieniają w istotę wątłą i słabowitą, istotę którą łamie pierwsze lepsze cierpienie i do chłodnéj wiedzie mogiły. Znajomość zatym higienicznych warunków, jest konieczną dla matek, bo biegła, rozumna i troskliwa opieka, może usunąć niejedno złe w samym zarodku, może wstrzymać postęp i rozwój cierpień dziedzicznych, zniszczyć i zobojętnić źle wróżące na przyszłość usposobienie, zapewnić niemowlęciu zdrowie i życie.

Do owych ogólnych *błędów higienicznych wychowania*, przyłącza się jeszcze właściwa niemowlęctwu delikatność *cielesnego ustroju*. Dziecię z natury swojéj skłonnym jest do przypadłości wszelakich. Rozdrażnienie przyrządów trawienia, tych najczynniejszych działaczy w organizmie dziecięcym, następuje u nich bardzo łatwo, oddziaływając szkodliwie na mózg i systemat nerwowy, z natury rzeczy i tak już skłonne bardzo do silnych reakcyj.

Dla tego to liczne wpływy lub przypadkowe przyczyny które bardzo słabo oddziaływają na dorosłych lub wywołują w nich małoznaczne ledwie zakłócenia, są dla dzieci źródłem silnych pobudzeń i reakcyj, i powodują cierpienia najważniejszych życiowych organów.

Z końcem pierwszego roku, śmiertelność się pomniejsza ale w porównaniu z wiekiem dojrzałym jest jeszcze bardzo znaczna i pozostaje taką aż do piątego roku życia t. j. do końca pierwszego peryjodu wzrostu i rozwoju dziecięcia. Według np. obliczeń dokonanych w Prusiech w ciągu siedmiu lat umierało tam 35% dzieci przed skończeniem piątego roku. Te smutne rezultaty liczbowe, powinnyby skłonić higienistów rodziców do zwracania bacznéj uwagi na przepisy dyjetetyczne i wychowawcze, aby zmniejszyć usposobienie do chorób, uprzedzać przyczyny cierpień, przeciwdziałać takowym, potrafić rozpoznawać chorobę i umieć pielęgnować dziecię cierpiące. Jedyny to bowiem sposób zmniejszenia tak wysokiéj cyfry śmierci przedwczesnych, uchronienia młodego pokolenia od zguby.

Błędy w dyjecie, zbyt ciepłe lub zbyt lekkie ubranie, nieczyste powietrze, brak ruchu, przedwczesna i wyczerpująca praca fizyczna lub umysłowa, silne wrażenia psychiczne jak strach lub radość, wpływ klimatu i pór roku, równie jak epoka rozwoju ściśle złączona z podwyższoną cyrkulacyją soków organicznych i wrażliwością, uspasabiają do chorób. Dodajmy jeszcze szybki obieg krwi i nerwowość tak sprzyjające gorączkowym stanom, dodajmy inne błędy codziennie przez niewiadomość rodzicielską popełniane jak przedwczesne opychanie aptecznemi lekarstwami, a będziemy mieli zbiór przyczyn składających się na cierpienia i szybkie wyniszczanie organizmu.

Dzieci chorują nietylko w skutku takich przyczyn które i na starsze osoby nieprzyjaźnie oddziaływają, ale ulegają także szkodliwościom ich wyłącznie wiekowi właściwym, to jest takim które zupełnie nie działają na starszych. Z drugiéj znowu strony istnieje dział chorób, które dzieci wytrzymują bezporównania łatwiej niż dorośli jak dajmy na to niektóre ostre gorączkowe wysypki, np. odra, które też zaliczają pospolicie do tak zwanych „chorób dziecinnych" przypuszczając że dobrze jest aby dziecko przez nie przeszło; dla uniknięcia większych niebezpieczeństw w późniejszym dojrzałym wieku.

Przedewszystkim należy utworzyć sobie jasne pojęcie co to są choroby dziecinne. Wielu lekarzy utrzymuje że chorobami dzieci są te tylko cierpienia które, wskutek odrębnych warunków dziecinnego ciałoskładu dzieciom są tylko właściwe, a za takie uważają np. zapalenie oczu i żółtaczkę nowonarodzonych, niestrawność u ssawców, objawy gorączkowe, konwulsyje i biegunki podczas ząbkowania i t. p. Określenie takie jest zbyt jednostronne.

Wiadomo bowiem że wysypkom gorączkowym jak odrze i szkarlatynie ulegają i starsi że toż samo da się powiedzieć o kokluszu, i tak dalej, tylko te stany patologiczne w dziecinnym organiźmie przyjmując oddzielny charakter i przebieg, wymagają odpowiedniego leczenia i dla tego właśnie do chorób dziecinnych zaliczane być mogą.

Co do nas mówiąc o chorobach dziecinnych, będziem za nie uważać takie mianowicie choroby które albo wyłącznie spotykają się u dzieci, albo panują między dziećmi daleko częściej jak między dorosłemi.

Rozmaite są zdania, co do długości wieku dziecinnego. Nie zgadzamy się na twierdzenie, żeby ósmy rok życia, uważać za kres dzieciństwa, przeciwnie na podstawie faktów i doświadczeń, możemy przyjąć trwanie wieku dziecinnego aż do dwunastu a nawet czternastu lat, bo bezzaprzeczenia do téj pory, wszystkie choroby czy samym tylko dzieciom właściwe czy tak dobrze u dzieci jak i u dorosłych napotykane, noszą na sobie odmienne u jednych i drugich piętno.

Charakter organiczny dziecięcia występuje więc wydatnie i po ukończeniu lat ośmiu, a kończy się dopiero z dojściem do dojrzałości.

W ciągu tego okresu funkcyje dziecięcia licznym ulegają przemianom, koniecznie zatym potrzeba rozróżnić kilka okresów — z których każdy ma pewne właściwe oznaki cierpienia, i wymaga odpowiedniéj metody leczenia. Przyjmiemy więc *pierwszy okres*—od urodzenia do ukazania się pierwszych zębów, *drugi* do ostatecznéj przemiany zębów, i *trzeci* kończący się z dojściem do dojrzałości. Według tych okresów rozklasyfikujemy choroby—są one niejednokrotnie związane z pewnym stadyjum, a podział ów będzie bardzo pożyteczny, i matki jako niespecyjaliści od wielu pomyłek osłoni ...

Chociaż większa część szkodliwych wpływów wywołujących zakłócenia w wieku dojrzałym, działa także na dzieci, błędnie by jednak utrzymywał ten coby myślał że dziecko, to dorosły człowiek w minijaturze, że jakieś bodźce i wrażenia raz silniej na dziecko działają, to znów od téj elastycznéj organizacyi odbijają się nie przynosząc mu szkody, jakąby starszemu organizmowi bezwątpienia przyniosły.

Gdyby tak było, mielibyśmy tylko dowód że ciałoskład dziecka w pewnych razach jest więcéj drażliwy i delikatny, w drugich posiada wielką właściwą jemu tylko siłę odporności. Tak np. działanie silnych środków jak kalomelu, mniéj daleko wyniszcza dzieci niż dorosłych i t. p. *(d. c. n.)*

---

do jakich doprowadzić może rozwijająca się *niezależnie od nauki* manija pseudo-poetyckiéj twórczości. Dla przykładu przytaczamy pierwszy lepszy wyjątek:

„On k., nie k., nie k., nie...
Do piersi leci kamień,
I gotuje się łkanie,
Ale nie na k. zamień."

* * *

Wilno d. 5 (17) Czerwca 1873 r.

Z Wilna, z tego niegdyś znakomitego miasta dziś do was się odzywam. Tylokrotnie opisywano już to czarujące miejsce i jego urocze okolice, iż nie chcąc powtarzać rzeczy dobrze znanych, powiem tylko, że w opisach tych nie ma zgoła żadnéj przesady. Rzeczywiście, prześlicznym jest położenie starego Giedyminów grodu. Z miast, których bardzo dużo widziałem nie znam takiego któreby w piękniejszej i bardziej malowniczej znajdowało się okolicy. Najwięcej pod tym względem podobieństwa ma do Wilna Lwów, również zamknięty i zacieśniony w dolinie otoczonej wysokiemi górami, z tą tylko różnicą, że Pełtew do brudnego raczej kanału niż do rzeki podobna — nie może się mierzyć z piękną Wiliją i siostrzycą jej Wilejką—w różnych kierunkach przeżynającemi miasto. Pierwszy raz jestem w Wilnie i bawię tu ledwo dni kilka. Ma się rozumieć, że za bardzo krótko, aby poznać miasto, jego mieszkańców i to wszystko, co na szczególną zasługuje uwagę. Z przewodnikiem Kirkora w ręku zabrałem się najpierw do zwiedzenia znaczniejszych świątyń, posiadających bardzo wiele i to nader ważnych historycznych pamiątek; o tych pamiątkach kiedyś obszerniej wam napiszę dziś zaznaczę tylko, że niektóre z kościołów jak pojezuicki, pouniwersytecki, podominikański. S. Jana i S-go Ducha, zasługują także na uwagę pod względem stylu, obszerności i ozdób wewnętrznych. Szczególnie piękną i bogatą jest katedra katolicka, w stylu klasycznym greckim, z kolosalną kolumnadą i frontonem, ozdobionym trzema ogromnemi posągami, z prześliczną oraz kaplicą w której złożone są zwłoki S-go Kazimierza Królewicza. W kaplicy tej, wyłożonej różno-kolorowym marmurem szwedzkim, znajduje się srebrna bardzo ładna statuetka Królewicza i ośm posrebrzanych posągów krewnych jego z rodu Jagielonów. Godnym jest widzenia piękny gotycki kościół Bernardynów fundacyi Kazimierza Jagielończyka, a dalej położony o kilka od niego kroków kościołek S ej Anny, istne pieścidełko architektury gotyckiej z koronkowemi wieżyczkami, o którym Napoleon I powiedział, że gdyby to było możebnym, zabrałby go do Paryża—i wreszcie kościół S-go Piotra na Antokolu, zbudowany kosztem Paca, hetmana litewskiego z XVII wieku, ozdobiony prześlicznemi gipsaturami na tle błękitnym, roboty włoskich artystów, i nakoniec sławny na Litwę całą kościół Ostrobramski. Co do ogólnéj fizyjognomii miasta, ma ono cechę większych miast prowincyjonalnych z dość wybitnym charakterem urzędniczym, militarnym, a w części handlowym, zwłaszcza w kilku ulicach przeważnie zamieszkanych przez liczne plemię Izraela dzierżące jak zwykle cały prawie handel w swym ręku. Towary i tak zwane drobiazgi tańsze są tu trochę niż w Warszawie, mieszkania nie zbyt drogie, ale artykuły do życia porządnie opłacać potrzeba. Zabudowane porządnie, ale nieregularnie i nie higienicznie, Wilno ma sporo wąziutkich ulic i uliczek, czyli tak zwanych tu zaułków, gdzie powietrze zabijające. Są też i latarnie gazowe, ale gaz widocznie w ogromnym tu poszanowaniu nie widziałem bowiem, aby go zapalano chociaż wieczory dobrze były ciemne. Z gmachów pokaźniejszych rządowych lub prywatnych uderzyły mnie więcej: pałac jenerał, gubernatorstwa, hotel Europejski, były

WADY NASZEGO CZYTELNICTWA i Stowarzyszenia Czytelnicze.

......Niejeden to taki,
Co woli w domu czytać szpargał lada jaki...,
Niżby rozum pięknym czytaniem zbogacił.

W N-rze 30 Niwy poruszoną była kwestyja wzrostu naszego czytelnictwa. Zaznaczono tam fakt pocieszający zaiste w porównaniu z przeszłością, ale nie zasługujący jeszcze na żaden panegiryk pochwalny, zwłaszcza gdy zastosujemy doń porównanie przestrzeniowe. W obec rozwoju czytelnictwa zagranicą, w Niemczech, Anglii, w sąsiednich Czechach, nasza konsumpcyja książek bardzo nieodpowiednią cyfrze ludności wydać się musi. Z drugiej strony—zważywszy na powszechną a uzasadnioną skargę, iż dzieła *pożyteczne, uczące*, ledwie opłacają koszta wydawnictwa i to niezawsze, gdy na bawiącej literaturze nieraz wydawcy nieszpetny robią interes, nie będziemy się chlubić wcale przeważającym kierunkiem tegoż czytelnictwa. Stąd pożądany jest rozwój wszystkich środków, powiększających tak liczbę czytelników jak równie wpływających na wybór lektury. Brak książek, niemożność ich dostania jest tu często takimże czynnikiem ujemnym jak lenistwo i obojętność. Niema kwestyi, iż pilny czytelnik potrzebuje książek niemało; na zaspokojenie głodu jego potrzeba biblijoteki całej. Trzeba mieć znaczne materyjalne środki, aby być w stanie kupić każdą książkę, którą się pragnie przeczytać. Wzajemna pożyczka może być pewną pomocą; w każdym jednak razie ograniczoną i niedostateczną. Pomijamy choćby to, iż ludzie, mający dobre dzieła i szanujący je, nie są bynajmniej skorzy do powierzania ich w obce ręce, dobrze pomni, iż uszkodzenie i przetrzymywanie cudzych książek jest u nas grzechem powszednim, a przysłowie nawet kradzież psa, zerwanie kwiatka i nieoddanie książki całkiem rozgrzesza. Na prowincyi np. ilość i jakość dzieł w rękach pojedyńczych osób będących, jest zwykle bardzo nieznaczną a rozbicie towarzystwa na kółka i kółeczka wzajemnemu obdzielaniu się wcale nie sprzyja. „Nawet dobrej książki do czytania tu pan nie znajdziesz“, powié ci każdy prowincyjał, narzekając jakby z obowiązku na nudy w swoim zakątku. Wprawdzie w każdym nieco większym miasteczku istnieje osobno lub dodatkowo przy składzie materyjałów piśmiennych, noszącym szumny tytuł księgarni, czytelnia, która może i powinna dostarczać miejscowéj ludności odpowiedniej potrzebom karmi umysłowéj, ale zastanówmy się, czy te zakłady odpowiadają swemu zadaniu.

Czytelnie wszystkie znajdują się u nas w rękach spekulantów i stanowią jeden ze środków spekulacyi; odpowiadają więc przedewszystkim interesowi właściciela. Ponieważ większość spogląda u nas dotąd na czytanie, jako na przyjemne zabicie wolnego czasu, interes przeto właściciela polega na zadawalaniu wymagań przyjemności, jeżeli zaś mniejszość, żądajaca obok przyjemności i pożytku istnieje (co nie wszędzie się trafia) w takiej cyfrze, iż zmusza go, by i ją miał na uwadze, zbywa się to o ile można najmniejszym kosztem i wysiłkiem. Że zwykle taki spekulant sam bywa człowiekiem mało wykształconym, nie poczuwa się więc do obowiązku korzystnego wpływania na oświatę, owszem dla interesu zaspokaja z całą skwapliwością najnierozsądniejsze żądania, wypływy złego gustu, lub nawet niskich instynktów. Bez breslaurowskiego skarbca arcydzieł niema pewno ani jednej czytelni, zwłaszcza na prowincyi. Udało nam się przejrzeć kilka podobnych zakładów w rozmaitych miejscowościach; były one podobne do siebie jak dwie krople wody; wnioskujemy więc, iż i reszta niewiele się od nich różni. Wszędzie znajdziesz dość liczny poczet romansów Dumasa i Sue, zabrudzonych na dowód, że już niejedno pokolenie ssało z nich pokarm duchowy, trochę Dickensa, podróży, pewną liczbę oryginalnych powieści, dwa lub trzy dzieła historyczne; z dziedziny zaś nauk społecznych i przyrodniczych nic, lub co najwyżej przestarzałą dziś Biblijotekę popularną Bernsztejna. Jeśli zażądasz czegoś poważniejszego, podadzą ci podróż Arago lub Tryplina, za książkę historyczną uchodzi każdy romans z przeszłości, a nawet.... Izabella i Eugenija. Że te czytelnie spekulacyjne trafunkiem tylko coś uczciwszego w sobie mieścić mogą, wynika koniecznie ze sposobu w jaki rekrutowane bywają. Kramarz uważałby sobie za straszny wydatek, gdyby dzieła nowe za cenę księgarską, choćby nawet z pewnym ustępstwem kupował — nabywa więc nierozsprzedanych z lat dawnych kandydatów na makulaturę lub za bezcen zbywane biblijoteczki, oddaje fuszerowi introligatorowi, aby książki jednakowo oprawił i kartkami na numer porządkowy opatrzył, i ot, powstaje zakład, karmiący duchowo abonentów. Dla nadania pozoru, iż czytelnia ciągle się pomnaża, dokupuje się kilka poczytniejszych nowości, o które się natarczywiej dopytują i na tym koniec. Jeżeli więc pragnący pożywnej strawy nie chce lub nie może sam nabywać dzieł odpowiednich, na czytelnie nie ma co liczyć wcale. *(d. c. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Lwów d. 22 maja 1873 r.

Coby powiedziano o człowieku, który zbudowawszy sobie dom dosyć znośny jak dla śmiertelnika, jedzącego wieprzowinę i zapijającego ją piwem, który nie starając się o uprzątanie z przed domu śmiecia, gruzów i błota, słowem niedbając o zdrowie własne, wznosił natomiast przed owym domem dziwolągi kamienne, które w wyobraźni jego mają znaczenie pomników? Cóż dopiero jeżeli tak robi człowiek zbiorowy, gmina miasta Lwowa, targująca się o każdy grosz, gdy idzie o wydanie go na rzeczy niezbędne? Tak mamy figury kamienne i bronzowe, ale nie mamy chleba powszedniego, zjadamy w stosunku do gleby galicyjskiej chleb bardzo drogi, a zawsze gorzko-kwaśny, albo na odwrót, bo nie ma pieniądzy na kontrolę należytą. Zresztą co po kontroli, kiedy tu niema właściwie dobra publicznego i interesu publicznego, tylko interesiki koteryjne. Każdy przedsiębierca ma kilku jeżeli nie kilkunastu panów radnych, którzy gardłują w jego sprawie i przekrzykują zawsze głosy rozważne lub sumienne. A że każdy znów rajca miejski zasiadający w radzie miejskiej, ważniejszą jest figurą niż jego pachołek, którym jest każdy urzędnik gminny, wolno mu zatym zmieniać wyroki, grzywny znosić, jeżeli cisną jego kolegę, bo—wyroki te i grzywny wyszły z urzędu, złożonego tylko—z pachołków. „A my tę *hołotę opłacamo*, my ją żywime“—dodaje z kiepska po węgiersku, przezacny ojciec

---

gmach uniwersytecki który zajmuje cały obszerny kwartał i służy za pomieszczenie szkołom, rozmaitym biurom, publicznej biblijotece, muzeum i archiwum, dalej obserwatoryjum astronomiczne zniszczone i przerobione na mieszkania prywatne, a także kilka zabudowań poklasztornych, przerobionych na koszary lub bezpłatne mieszkania prywatne. Pisma polskie, a mianowicie Gazetę Warszawską i Tygodnik Illustrowany w jednej tylko spotkałem cukierni. Istnieje tu także księgarnia starej firmy Zawadzkiego i dwie czy trzy inne (Assa, Zietkinda i jeszcze jakaś jedna) w których obok rosyjskich można dostać i polskich książek. Zwiedziłem także i cmentarz *Rosę*, spoczywa bo na nim bardzo wiele znakomitości naukowych literackich i obywatelskich a pomiędzy niemi i nasz lirnik wioskowy (Syrokomla) leży tu w skromnej mogile, odznaczonej skromnym kamieniem położonym przez żonę i dzieci. Z pomiędzy licznych pomników uderzył mnie wspaniałością i oryginalnością grobowiec profesora b. Akademii Medycznej Józefa Korzeniowskiego, w kształcie ogromnej z marmuru księgi zamkniętej, na której wyryte nazwisko zmarłego i dzień jego śmierci. Cmentarz wogóle utrzymany bardzo starannie wygląda na wspaniały ogród. *Wł. Prawdzie.*

* * *

Z wyższych zakładów naukowych za granicą rokrocznie wychodzi pewna, stosunkowo dosyć nawet znaczna liczba polaków. W r. b. jak donosi Gazeta Polska ze *szkoły górniczej paryskiej* (école des mines) otrzymali patenty pp: Kurzelewski i Żelski z Grodna, ze *szkoły zaś dróg i mostów* (école des ponts et chaussées) pp: Wokulski z Gostynina, Majzel z Wilna, Hertel z Kraśnicy, Łapkiewicz ze Skempego, Syciński z Dobrowoli.

* * *

W tych dniach ukazał się 3-ci zeszyt „poezyj Józefa Grajnerta.“ Są to wspomnienia, apostrofy, ballady i fantazyje. Na ołtarzu, którego poeta jest kapłanem, widzimy uświęcone wyrazy ogólnych idej: piękności i miłości, prawdy i prostoty. Forma zbiorku, mimo kilku usterek, śpiewna a rodzima.

* * *

Nikt nie zaprzeczy, że od lat niedawnych, społeczeństwo nasze garnie się do nauki i światła żąda. Ruch ten szczęśliwy zawdzięczamy z jednej strony znakomitemu przybytkowi wychowańców uniwersytetu, którzy do składu społecznego weszli, z drugiej zaś gorącym nawoływaniom młodej prasy.

Młoda prasa ma swoje zasługi, to jej nawet najwięcej nieprzyjazni przyznać muszą. Do tej pory nie widzieliśmy, aby panowie księgarze przykładali czynną rękę do dzieła postępu. Patrzyli oni z uwagą na siejbę, czekając co dalej będzie. Dziś, kiedy posiew rzucony zeszedł bujnie, kiedy już kwitnąć poczyna i obfite rokuje plony, zawiązuje się, „spółka wydawnicza“, do której przystępuje pięć najdzielniejszych (!) firm księgarskich. Gazety, Kuryjery i tak dalej, przyklaskują wielkiemu dziełu, które według ich zdania niesłychanie oddziała na postęp umysłowy, zaważy stanowczo na szali przyszłości.

My na tę kwestyją patrzymy trochę inaczej. My w tej spółce widzimy wyraźną chęć sparaliżowania działań wydawnictw prywatnych, widzimy zjednoczenie *najdzielniejszych kapitałem*, przeciwko *mniej dzielnym*.

Spółka wydawnicza posiada liczne stosunki agientury i tak dalej skoro działać poczznie, to niezadługo wyruguje tych wszystkich którzy jej sile przeciwstawić się nie zdołają.

Aby wytrzymać konkurencyją i mniej dzielni powinni coś uczynić połączonemi siłami. Należy spółce przeciwstawić inną spółkę, a projekt jej utworzenia już powstał w kółku młodej prasy i bezwątpienia urzeczywistni się wkrótce. Społeczność na takiej emulacyi nie straci, a wydawcy mniej zasobni nie ulegną przewadze kapitałów spółki księgarskiej.

miasta, każdy z osobna i wszyscy razem. Nieprzeliczoną ilość razy zdarzyło się naprzykład, że gorliwy o dobro publiczne urzędnik zabrał której piekarni parowej chleb, albo rzeźnikowi nieświeże mięso, ale zaledwo podejrzanej wartości produkt wwiózł jedną bramą do ratusza, już ci mu wydano własność jego przez drugą bramę. Cóż to szkodzi, że przez parę dni chorowało kilka tysięcy osób na niestrawność, że zatruło sobie organizm... to bagatela „byleśmo my nie tracili na tym“. To samo i ciągle dzieje się z kontrolą co do czyszczenia ścieków i kanałów po domach, to samo z walącemi się domami. Nakaz wychodzi tylko, ażeby zatrzeć brudy i szpary na zewnątrz, ale co się dzieje w mieszkaniach, kuchniach, po kurytarzach i wschodach—na to przymyka się oczy, choć śmiertelność wzmaga się niesłychanie, z każdym rokiem, z każdym niemal miesiącem. Tyfus (durzyca), gorączki, tuberkuły, a jak tego roku i ospa, dziesiątkują ludność, a szanowni rajcy śpią sobie snem sprawiedliwych... Cóż z tego, że rada zdrowia publicznego kołace prawie pięściami do rady miejskiej, cóż nawet z tego, że wszystkie pisma kładą jej to w uszy, kiedy podobno łatwiej przebić mur głową człowiekowi energicznemu niż trafić rozumnym słowem do mózgownicy ciemnej.— Targuje się rada miejska ze szpitalem głównym, a ewentualnie z wydziałem krajowym, nie chcąc dopłacić kilkudziesięciu tysięcy na szpital, zalegających z lat dawnych, ale nie potarguje się z przedsiębiercami, którym płaci słono za dostawę miastu nic wartych kamieni, wapna, robót stolarskich i ciesielskich i t. p. A płaci dobrze i bez targu, bo wszystkie takie przedsiębierstwa powierza się protegowanym swoim, na każdym kroku ohydny nepotyzm. Jest to jakby jedna, stu-ramienna rodzina chciwa i łakoma, wyzyskująca społeczeństwo pracujące krwawo. Ludzie bowiem zamożni, trochę szlachty tracącej tu majątki na giełdzie, arystokracyja rodowa—ci nie troszczą się o sprawy miasta. Wszystkie ciężary powstające z wyzyskiwania, ponosi liczna a uboga klasa urzędnicza, biedniejsi rzemieślnicy i w ogóle ludzie pracujący, żyjący z dnia na dzień, jak ubodzy studenci, nauczyciele i jeszcze stokroć uboższa klasa szwaczek, officyjalistów czasowo siedzących na bruku i liczny zastęp młodzieży, która wchodzi w świat z głową wprawdzie nabitą teoryjami, ale niewie jeszcze do czego rękę przyłożyć.

Za szeroko może rozpisałem się o tym przedmiocie, a jednak nie koniec jeszcze, bo instytucyja taka jak komuna miejska, jest władzą, w której ręku spoczywa dobro albo wszelkie zło społeczeństwa miejskiego. Niektóre zakłady dobroczynne, szkoły elementarne, podlegają tej nieudolnej kontroli. Dla zakładu sierot naprzykład, może rada miejska żywi najlepsze chęci, ale nie poczytuje za rzecz sumienia, by dzieci tam wychowywane, doznawały opieki, jaka należy się istotom słabym. Dość powiedzieć, że uważa to jako łaskę niesłychaną, gdy z grosza publicznego utrzymuje ledwo przy życiu kilkadziesiąt istot ludzkich i niby to daje początkowe wychowanie. W pojęciu mieszczaństwa lwowskiego, oświecanie pokolenia młodego to nie obowiązek, to łaska!

Pomimo drugiej edycyi zimy, jaką nam dała druga połowa kwietnia, cukiernikom lwowskim brak lodu, zwłaszcza gdy dużo go wywieziono jeszcze w marcu do Wiednia, który zaopatrywał się we wszelkie zapasy, licząc na gromadny zjazd podczas wystawy. Bogiem a prawdą wystawie tej nie rokują sukcesów. Powracający z Wiednia do Lwowa skarżą się unisono na niepraktykowane zdzierstwa w stolicy naddunajskiej. Opowiadają także, że w pierwszych dniach po otwarciu wystawy rozdano bezpłatnych biletów wstępu do 80,000, a zgłaszającym się po bilety oświadczono, że niema już żadnych, że taki nawał zwiedzających. Prócz takich sztuczek ogromny popłoch na giełdzie wiedeńskiej i liczne bankructwa wpłynęły także zgubnie na inne prowincyje. Dało się to uczuć i Galicyi, nietylko przemysłowcom, ale i kapitałom prywatnym. Już to powtóre odbiera szlachta galicyjska porządne cięgi, wdając się w grę giełdową z tumanami wiedeńskiemi. To jeden rak toczący społeczeństwo od góry, a drugim jest lichwa, cisnąca klasy średnie i najuboższe, bo lud nawet wiejski. Dodajcie do tego pieniactwo pokątne, wodzące chłopa po sądach i uwodzące go ciągle, a będziecie mieli obraz wcale nie ponętny. Zgnilizna ta występuje jaskrawiej na wiosnę, gdy i głód zagląda do zagród włościańskich i rząd egzekwuje podatki, szarpie lichwiarz i pisarz pokątny, patronując niby za włościaninem lub mieszczaninem, a w gruncie idąc ręka w rękę z lichwiarzem. Takich pijawek jak niedyplomowani patronowie, ukarał sąd w zeszłym miesiącu 23 w samym Lwowie, nakładając grzywny po 50 do 100 złr. Przeważny zastęp tych ludzi rekrutuje się z pomiędzy obywateli wyznania Mojżeszowego.

Wyszło tu sprawozdanie o szkole przemysłowej i handlowej lwowskiej, przez Dra Karola Benoniego, nauczyciela przy szkole realnej. Rzecz to bardzo pożądana i dosyć obszerna, ale jest raczej projektem reformy niż sprawozdaniem. Autor zwiedziwszy szkoły fachowe tego rodzaju w Lipsku i Dreznie, daje krótki rys systematów, których się tam trzymają i proponuje reformę szkoły handlowej i przemysłowej we Lwowie. Zwraca uwagę na konieczność klasy przygotowawczej, jakie istnieją nawet za granicą, mimo większego procentu umiejących tamże czytać, pisać i cztery działania arytmetyczne. Jakoż w samej rzeczy, we Lwowie trafić można nie jednego tak zwanego terminatora u rzemieślnika, który nie zrozumiałby najprzystępniejszego wykładu w szkole przemysłowej. Proponuje dalej, ażeby panowie majstrowie pozwolili uczniom swoim uczęszczać do szkoły przemysłowej rano, nie jak to ma miejsce dotychczas, wieczór, rano bowiem przybywa uczeń taki nie znużony fizycznie, a zatym ze świeżym umysłem, pochopniejszym do przyprzyjęcia nauki. Kończy tym, że podjąłby się chętnie pracy i wykazał w specyjalnej broszurce, iż popieranie szkół przemysłowych leży w interesie samych przedsiębierców, ale dodaje: nie czynię tego w nadziei, że poczucie obywatelskich obowiązków doprowadzi samo do gorącego udziału w pracy tak pożytecznej. Zdaje mi się, że broszura wykazująca interes, jest konieczną, bo mieszczaństwo lwowskie, zapoznaje i interes własny, cóż tu więc liczyć na poczucie.

W maju wykluło się tu nowe towarzystwo oparte na wzajemnym wspieraniu członków, a daj Boże by zakwitło—„Towarzystwo wzajemnej pomocy artystów lwowskich“. Powołało go do życia grono artystów dramatycznych, ale statut już zatwierdzony przez rząd, przypuszcza i artystów innego zawodu, jak malarzów, literatów... Idzie tu nadewszystko o pomoc materyjalną dla członków i ich rodzin, i o zebrania narady i dyskusyje, których celem nauka w ogóle i kwestyje literacko-artystyczne w szczególności.

Z końcem kwietnia i początkiem maja rozhulała się tu śmierć na dobre, i nic dziwnego, bo w takiej kotlinie z natury położenia jak Lwów bagnistej, z wiosną pełnej błota, a w lecie pyłu z kamienia wapiennego, zwykle śmierć jak w domu. Lwów ma piękne okolice, ogrody, sady, wzgórza i lasy nawet blisko, ale niema porządnej kanalizacyi i brakuje mu tego o czym pisałem na wstępie—porządku. Prócz tego na miasto liczące stałej ludności 90,000, to może za mało trochę 63 lekarzy, jak wiemy o tym z najświeższych wykazów rządowych przeznaczonych dla publicznego użytku. Zdarza się nieraz w czasach mianowicie panujących chorób nagminnych, że trzeba w nocy objechać dziesięciu z rzędu lekarzy, zanim zastanie się w domu jednego. A i ten niejednokrotnie, nie z innej przyczyny, jak poprostu pod nawałem pracy upadając nie jest w stanie udać się z pomocą.

Do dziwnych wypadków należy zdarzenie takie, jak śmierć obojga małżonków, w sile wieku, jednocześnie ich zabierająca. Oto 5-go zeszłego miesiąca zmarła tu nagle żona wice-marszałka sejmu galicyjskiego, pana Ławrowskiego, a w nocy z 5 na 6 maja zmarł on sam także. Pogrzeb odbył się razem przy natłoku publiczności i wzruszeniu głębokim, gdy zwłaszcza staruszka, matka ś. p. Ławrowskiej, upadając pod strasznym ciosem w chwili spuszczenia trumien do grobu, straciła przytomność i nie odzyskała jej więcej,—jest obłąkaną. Umarło także dwu posłów sejmowych, zbankrutowało kilku kupców i dwu młodzieńców odebrało sobie życie. Jeden z młodych został samobójcą bez wiedzy o tym, bo skoczył w gorączce z balkonu trzeciego piętra, był to syn artysty śpiewaka, p. Köhlera. Drugie zabójstwo przez wystrzał z pistoletu w samo serce, przypisują niektórzy pojedynkowi amerykańskiemu, najniedorzeczniejszemu może pod słońcem. Młody urzędnik pocztowy, Władysław Wiszniewski, wróciwszy dnia 1 maja na śniadanie z biura do domu, porwał nagle za pistolet i pokazując niby, jak to się strzela, zabił się na miejscu. Że to był człowiek młody, sympatyczny i znany pomiędzy młodzieżą, mówiono o nim dużo i złośliwie, a zjadliwsi posądzali go zaraz o złodziejstwo. Ci co go znali bliżej, twierdzą stanowczo, że to pojedynek amerykański spowodował, bo przez cały rok ostatni przed śmiercią dziwnie bywał ponurym, często smutnym a w ostatnich chwilach żegnał dwuznacznie znajomych.

T. S.



„O zasadzie użyteczności“ *John'a Stuarta Mila*, przekład z angielskiego, wydanie Przeglądu Tygodniowego 1873 r.

Zasada użyteczności, czyli tak zwany utylitaryzm nosi jeszcze na sobie podziśdzień w obec teologów i idealistów tradycyjne piętno wzgardy. Tępe sobkostwo, gruba zmysłowość, ryczałtowe uświęcenie środków prowadzących do samolubnego celu—oto w oczach większości zasadnicze znamiona potępionego zaocznie utylitaryzmu. Wszyscy się jednak na to zgodzą, że „pierwszym warunkiem racyjonalnego przyjęcia lub odrzucenia jakiejkolwiek zasady jest dokładne jej poznanie“. Rozprawa Mila oczyści pewno nie jeden umysł z fałszywych poglądów.

Utylitaryzm pod piórem znakomitego myśliciela przybiera doniosłość powszechnej moralnej zasady: dochodzi do syntezy, pozbywa się jaskrawego piętna wyłącznej teoryi, zyskuje pozytywny grunt i praktyczną wszechstronność. Niema już on nic wspólnego z „doktryną godną wieprzów“—przezwiskiem, które mu się dostało w spadku po starorzymskim epikuryzmie: jak bowiem z jednej strony nie wyłącza bynajmniej tego, co nazywamy przyjemnym i pięknym, tak

Każdy czyn ludzki jest podług Mila o tyle tylko dobrym, o ile materyjalny lub moralny pożytek przynosi, o ile szczęście jednostki lub pewnej grupy jednostek pomnaża. Poświęceń bezinteresownych filozof nasz nie gani, owszem cześć im należną oddaje; gdy są bezowocowe, słusznie je nazywa „próżnym sił marnotrawstwem", a uważając *szczęście* za ostateczny—widomy lub ukryty, niski lub wzniosły—cel ludzkich czynów, obala błędną naukę o *poświęceniach bez względu na szczęście* tą jedną uwagą, że człowiek, umierający dobrowolnie za ludzkość, naród, stowarzyszenie lub rodzinę, nie poświęciłby się pewno gdyby wiedział, że czyn przez niego dokonany innym nie zapewni szczęścia, że „innych od podobnych nie uwolni poświęceń".

Pragnęlibyśmy, aby słowa powyższe zachęciły do odczytania książki, która, jak wszystko, co wyszło z pod pióra John'a Stuarta Mila, odznacza się filozoficznym umiarkowaniem, niezwykłą ścisłością argumentacyj, szlachetnością dążeń i prostotą wykładu.

Przyswojenie naszemu piśmiennictwu tak ważnej angielskiego myśliciela rozprawy należy do prawdziwych zasług Redakcyi Przeglądu, tymbardziej, że dokonany z oryginału a wzbogacony kilku uwagami przekład wolnym jest z wyjątkiem 1-go rozdziału od korektorskich omyłek i rzadko wogóle grzeszy błędami przeciw duchowi języka.

A. G. B.

ROZMAITOŚCI.

Czeskie towarzystwo przemysłowe w Pradze, powzięło zamiar urządzenia w tymże mieście w r. 1874 *wystawy przemysłowej* żelaza, machin i narzędzi rolniczych.

* * *

W m. Piotrkowie mają stanąć wkrótce *trzy nowe zakłady przemysłowe:* gorzelnia i dystylarnia wódek, fabryka do wyrobu tektury smołowcowej i fabryka fajansów. Tę ostatnią zakłada biegły w swym przedmiocie dyrektor podobnej fabryki, istniejącej w mieście Kole.

* * *

U Gerolda w Wiedniu wyszło w tych czasach trzytomowe dzieło Adolfa Beera p. t. *Die erste Theilung Polens* (Pierwszy rozbiór polski). P. Beer korzysta z oryginalnych dokumentów archiwum wiedeńskiego, którym obecnie zarządza p. Arneth, nie wzbraniający nikomu wstępu do skarbów przez siebie strzeżonych.

Tom 1-szy zawiera same tylko dokumenty; 2-i i 3-ci historyją rozbioru od końca wojny siedmio-letniej do 1776 r.

Zdaniem p. Beer, Austryja pierwsza podała projekt rozbioru, Fryderyk zaś przyczynił się do nadania projektowi szerszego znaczenia. Tego samego był zresztą zdania Ranke i to samo utrzymuje także Duncker w swojej historyi Prus zachodnich.

* * *

Prusak hr. Hohenzollern przeznaczył cztery milijony talarów na *wykup dóbr z rąk polskich* w W. K. Poznańskim. Mamy nadzieję, że poznańczycy, którzy w ostatnich zwłaszcza czasach od niemczyzny energicznie bronić się poczęli wobec tego i tym podobnych zamachów, nie dozwolą jej zagnieżdżać się w pośród ziemi słowiańskiej.

* * *

W Petersburgu (u księgarza *A. Devrienta)* wychodzi od roku 1867. *„Sbornik russkaho istoriczeskaho obszczestwa"*, w którym znajdujemy dużo materyjałów do historyi Polski w wieku XVIII i na początku dziewiętnastego. Wyszło dotąd tomów *dziesięć.* Pomijając spis ogólniejszego znaczenia dokumentów z archiwów cesarskich i prywatnych arystokratycznych, wymieniamy parę bliżej nas obchodzących: Sześć listów Cesarza Aleksandra I-go do ks. Zenajdy Wołkońskiej (po franc). List ks. A. Czartoryskiego do Cesarza Aleksandra I-go z 26 Czerwca 1807 (po franc.). Listy ks. A. Czartoryskiego do Nowosilcowa (po franc.). Należałoby historykom naszym z tych materyjałów sumiennie skorzystać.

* * *

Redakcyja *Tygodnika Wielkopolskiego* ogłosiła konkurs na napisanie *gruntownej historycznej monografii „o Chrzanowskiej i obronie Trembowli."* Monografija ta, objętości mniej więcej 3 do 4 arkuszy druku, winna być nadesłana Redakcyi T. W. najpóźniej do 1-go Marca 1874. Nadsyłane monografije opatrzone być winne tym samym godłem co koperta zawierająca kartkę z nazwiskiem i adresem autora. Nagroda wynosi *sto talarów.*

* * *

Ksiądz Franciszek Ksawery Głodkiewicz z Galicyi przesłał na Wystawę Wiedeńską *wieczny kalendarz ścienny ruchomy* swego pomysłu poświęcony pamięci znakomitego astronoma rodaka naszego Mikołaja Kopernika. Kalendarz ten obejmuje rachubę według kalendarza julijańskiego, gregoryjańskiego i staro-rzymskiego i daje możność wyszukania i obliczenia wszystkich dat z przeszłości i na przyszłość. Składa się z 7-miu kół czyli z tyłuż części z 5 stawkami i 1 dokładką. Z tych kół 4-ch są ruchome. Dwa środkowe przedstawiają niebo z gwiazdami w ich gromadach (konstelacyjach), dalej na drugim kole znajdują się dwie krzyżownice wiatrów, pierwsza niemiecka czyli morska, dzieląca tarczę horyzontu na 32 części, druga polska według ś. p. Wincentego Pola dzieląca horyzont na 24 części. Wiatry odznaczone są kolorami. Trzecie koło ruchome obejmuje kalendarz ruski. W czwartym kole znajdują się dane do kalendarza polskiego i gregoryjańskiego. Piąte koło ruchome księżycowe. Szóste koło nieruchome ze świętami nieruchomemi. Siódme koło niedzielne. Duplikat tego kalendarza oryginalnego i z wielką sumiennością wykonanego, wystawionym jest w księgarni Rychtera we Lwowie.

* * *

W siebie samych i w świat cały wmawiają niemcy misyją cywilizowania słowian, a wszczególności nas polaków: przedewszystkim jednakże powinni zacząć od ucywilizowania samych siebie, a następnie od poznania tych, których swoją giermańską oświatą uszczęśliwić zamierzają. Nam zaś samym zależeć na tym powinno, aby tak niemcy jak wogóle cała Europa obeznała się bliżej z naszą przeszłością i ze skarbami naszej narodowej literatury, gdyż na takim poznaniu jedynie zyskać możemy. Z wdzięcznością przeto witamy każdą nową książkę w tym celu napisaną, zwłaszcza, jeżeli jej autorem nie jest jakiś ziejący nienawiścią pismak, lecz autor dla którego *prawda* najwyższym jest prawem. Takim pisarzem jest *E. Lipnicki*, którego dziełko: *Geschichte der polnischer National-Literatur* wyszło w roku bieżącym w Moguncyi. Odpowiednio do tytułu dziełka (w niemieckim znaczeniu *National-Literatur)* przedstawił p. L. jedynie naszę literaturę poetyczną (jedyny wyjątek stanowi Górnicki i Skarga); ale w ostatnim okresie uwzględnił również dziejopisarstwo i filozofiją. Sądy p. L. są zazwyczaj trafne i bezstronne. Mimo pojedyńczych usterek, których tu wytykać niebędziemy, możemy dziełko p. L. polecić każdemu niemcowi, pragnącemu w ogólnych zarysach poznać literaturę naszę, i każdemu nauczycielowi, wykładającemu niemcom ten przedmiot (T. W.)

* * *

W ostatnich czasach przedstawiano na scenie poznańskiej nową fraszkę sceniczną pana Józefa Kościelskiego p. t. *Rozstajne drogi.* Lekki i szczery humor, zręczny dyjalog i zręczność w kreśleniu postaci mają zalecać tę sztuczkę i wynagradzać parę nieprawdopodobnych sytuacyj i niezbyt dokładne obeznanie się z wymaganiami scenicznemi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Alek. Poboj. w Saratowie. Rs. 11 otrzymaliśmy. Pisma zaprenumerowane książki wszystkie zakupione odsyłamy z rachunkiem.

Pani Wiesz. w Białéj Cerkwi. Klejnoty poezyi polskiej posyłamy—(rs. 1) za koszta przesyłki należy się nam kop. 30.

Panu Mazur. w Druzgienikach. Cały komplet wydawnictwa Jeskiego wysłaliśmy Panu d. 28 Czerwca r. b.

Panu Kniaź. w Kijowie Cały komplet wyd. Jeskiego posyłamy. Za zwłokę nie z winy naszej pochodzącą przepraszamy.

Panu Załusk. w Jasionnej. Nie mamy Pana na liście prenumeratorów. Racz się Sz. Pan o zaspokojenie pretensyi zgłosić do księgarni z której pismo nasze wypisujesz.

Panu Postemp. w Lipowcu. Biblijoteka pozytywna zaprenumerowana i wkrótce ją Pan otrzymasz. Dzieło Claude Bernarda „de la Physiologie Generale" może Pan nabyć w księgarni Maurycego Orgelbranda w Warszawie, ale uprzedzamy, że dzieło to w przekładzie polskim, otrzymasz pan niezadługo jako prenumer Bib. pozyt.

Panu Łąż. w Skujanach. Tom IV powieści „Tajemnice komuny" posyłamy.

Panu Pawlenko w Brześciu Kujawskim. Tom IV „Tajemnice komuny" powtórnie posyłamy.

Panu Orłow. w Rzeczycy. Nr. 11 i 12 wysłaliśmy w właściwym czasie, obecnie są one zupełnie już wyczerpane. Innym żądaniom uczynimy zadosyć

Panu Omedze w Kielcach. Dziękujemy za życzliwość i prosimy o korespondencyje. Z nadesłanej korzystać nie możemy bo żadnych zgoła nie zaznacza faktów.

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się jako dodatek za miesiąc Czerwiec I tom powieści Walerego Przyborowskiego **„Na partykularzu."**

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.